

Suzume weszła do klasy. Zignorowała ciekawskie spojrzenia, szydzące szepty. Przeszła przez pomieszczenie ze spuszczoną głową i twarzą skrytą we włosach. Usiadła w ławce.

"Jestem w szkole? Jak to? Czy ja kiedykolwiek chodziłam do...?"

Szkoła. Nienawidziła jej. Każda spędzona w niej chwila obfitowała w cierpienie, niezrozumienie. Nie była częścią tej rzeczywistości, odstawała od reszty. Była inna. Obca. Dlaczego? Dlaczego nie mogła być taka jak wszyscy? Co przeszkadzało jej w byciu normalną?

"Co? Ja? Nienawidziłam szkoły? Ale ja przecież znam osiem języków! Kocham się..."

Nauka przychodziła jej bez trudu. Nauczyciele mówili, że ma niewiarygodnie chłonny umysł. A jak było w rzeczywistości? Może po prostu tylko książki pozwalały jej zapomnieć o otaczającym ją świecie? Tym świecie, który przysparzał jej tyle bólu?

"Nie rozumiem. Świat sprawiał mi ból? Może to i prawda, ale... Cholera, nie pamiętam... Nic nie pamiętam! Co się ze mną...?"

Wokół niej rozchodziły się głosy. Najpierw ciche, potem coraz głośniejsze, bezczelniejsze. Nic specjalnego. Obgadywały ją koleżanki. Żadna nowość. Już dawno się nauczyła, że ta wrodzona uprzejmość Japończyków to zwykły mit.

"Hej!"

Suzume chwyciła kredkę. Zaczęła rysować, jak reszta klasy. Brązowy domek. Czarny ludek. Czerwony uśmiech. Inne pierdoły. Gdy rysowała żółte włosy, ktoś do niej podszedł. Popchnął. Jasna kreska koloru cytryny przekreśliła jej świeżo rozpoczęte dzieło.

"Gdzie, do jasnej cholery, jest nauczyciel? Sensei! Sensei!!!"

Suzume wcale nie krzyczała. Nic nie mówiła. Spuściła wzrok, skuliła się, jakby czekała na cios. Skryła twarz w swych długich, czarnych włosach.

"Co ja wyprawiam? Dlaczego nie walczę? Zrób coś! Postaw się!"

Rysunek został podarty na strzępy. Tak jak jej życie. Jej życie rozdarło się na dwie połowy, by potem podzielić się na więcej i ulecieć, niesione wiatrem. Łza. Łza? Krew. Krew spłynęła jej po policzku.

"Krew? Ale... Ale czemu?"

Koniec. Ko. Ni. Ec. W tym słowie jest ukryte piękno. W tym słowie jest coś, co daje szansę na zrozumienie.

"Zrozumienie czego?"

Zrozumienie życia. Zrozumienie pustki. Zrozumienie wielkości jaka jest zawarta w nicości. Woda w wannie powoli zabarwiała się na czerwono. Czerwień. Ten kolor też jest piękny. Wspaniale głęcoki. Wspaniale epicki. Suzume nienawidziła ludzi. Świata. Siebie. A co kochała?

"Dlaczego nikt nie wchodzi? Dlaczego nikt nie puka?"

Nikt jej nie przeszkodził. Zamknęła oczy. Odpłynęła. Była na bezkresnym oceanie. A może w? Tak. Była w bezkresnym oceanie. Płynęła. Umiała pływać? Chyba nie. Nie umiała. Ale przecież nie miało to znaczenia. Przecież i tak tonęła w wannie.

"Co? To przecież nie ma sensu!"

Nie ma problemów. Nie ma zmartwień. Nie ma bólu. Jest tylko piękna, niczym niezmacona pustka. Piękna, rozległa czerń. Idealne nieistnienie.

Nie było aniołów. Wiedziała, że nie będzie.

"Ja... Ja się zabiłam? Ale ja żyję! Ja... Dlaczego? Jakim cudem mnie odtworzyli? Dlaczego ja tego nie pamiętam?"

Nie wszystko pamiętamy. Nie zawsze jesteśmy świadomi tego, jak toczy się nasze życie. Czasami jesteśmy jedynie stojącymi prosto, pustymi pionkami w rękach losu. Taka egzystencja przypomina sen. A nieraz przebudzenie bywa bardzo bolesne.

"Dlaczego pomyślałam o aniołach?"

Ojciec Suzume zmarł, gdy ta była jeszcze małą dziewczynką. Po krótkiej żałobie, jej matka wyszła ponownie za mąż. Tym razem jej wybrankiem był gaijin. Amerykanin. Dlatego Suzume tak dobrze mówiła po angielsku. Do tego jej ojczym był bardzo zatwardziałym katolikiem. Próbował zarazić tym swą pasierbicę. Nieskutecznie. Została ateistką.

"Ja... Miałam ojczyma? Zawsze myślałam, że to oni wgrali mi znajomość angielskiego..."

Suzume się myliła.

"Kim jesteś?"

Suzume nie wiedziała, że zwracając się do Nas, łamie czwartą ścianę.

"Co?!"

Suzume nie wiedziała, że naprawdę nie istnieje.

"Co?! Ja istnieję! Ja żyję! Jestem człowiekiem, do cholery! Istnieję! Żyję! Nigdy się nie zabiłam! Kłamiesz! Kłamiesz, ty..."

Przejdźmy może dalej.

"Ty skurwysynu!"

Zobaczmy może, jak radzi sobie oddział Suzume. Zobaczmy, co jej najbliżsi towarzysze o niej myślą. Zobaczmy, czy w ogóle żyją.

"Poczekaj! Ja... Ja chcę zrozumieć... Czekaj!"

Przejdźmy do następnego wątku opowieści.

\*\*\*

- Kochasz ją? - zapytała Nariko, podając Lamino jedną z dwóch butelek zimnego piwa, które właśnie wyjęła z lodówki.

- Kogo? - odpowiedział ten pytaniem, szukając po kieszeniach otwieracza do butelek. W końcu znalazł go pod stołem.

Dziewczyna skinęła głową w stronę hotelowej łazienki, z której dochodził głośny szum wody wylewanej z prysznica.

- A, Suzume? - pojął Latynos, po czym wziął dużego łyka. - Jasne, że tak.

"A więc jestem tam. Właśnie biorę prysznic. Wspaniale. Ale jestem też tutaj. Słucham ich rozmowy. Więc gdzie tak naprawdę jestem?"

- Spałeś z nią?

"Czemu ona o to pyta? Co ją to niby obchodzi?"

Mężczyzna zakrztusił się piwem, wylał trochę na podłogę.

- Co? - spytał, zaskoczony. - Nie! Jasne, że nie.

"Kochany Lamino."

- Czemu?

"Bo jestem przecież jego małą siostrzyczką."

- Wiesz... Suz po prostu nie interesuje mnie jako dziewczyna.

"Cóż, nie najlepiej to zabrzmiało. Ale przynajmniej miałeś dobre intencje. Prawda?"

- A jako kto?

- No... Jakby ci to...?

"Normalnie. Powiedz jej, że jestem twoją małą siostrzyczką. A ty jesteś moim dużym bratem. Zawsze tak było. Po prostu to powiedz!"

Lamino westchnął. Wziął kolejnego, potężnego łyka.

- Jako przyjaciółka - powiedział w końcu.

"Tylko tyle?"

- Aha. Jako przyjaciółka. Ale mimo to ją kochasz.

- Nariko, daj spokój. To jest tylko i wyłącznie nasza sprawa.

"Właśnie."

- Spoko. Po prostu jestem ciekawa, co ty w niej takiego widzisz - otworzyła własną butelkę i poszła w ślady Lamino.

- Wiesz... To dosyć skomplikowane. Ona po prostu bardzo potrzebuje pomocy. Przyjaciela, kogoś bliskiego. Kogoś takiego jak ja. Dlatego przy niej jestem.

- Ha! Więc ci na niej nie zależy?

- Co? Oczywiście, że zależy!

- Ale z tego powiedziałaś, jasno wynika, że jesteś z nią...

- Przy niej.

- Że jesteś przy niej z litości.

- Wiedziałem, że nie zrozumiesz.

- Więc nie mam racji?

- Nariko...

- Powiedz to.

- Po co?

- Po prostu powiedz, okay?

- Ech... No dobrze. Więc jestem przy niej głównie z litości.

"Lamino..."

- Dziękuję.

"Lamino..."

- Zadowolona?

"Lamino!"

- Tak. Bardzo mi pomogłeś.

"Nariko, ty..."

- Co? Ale niby w czym?

"Ty! Dlaczego mi to pokazujesz? Dlaczego?! Co tu się dzieje?! O co tu, kurwa, chodzi?! Dlaczego?!"

- Spokojnie - powiedziała dziewczyna z różowymi włosami, nie patrząc na Latynosa, tylko prosto w jej umysł. - Przecież sama powiedziałaś, że chcesz zrozumieć.

"Jak...? Ale... Ale ja nic nie rozumiałam!"

- Zrozumiałaś.

- Nariko, do kogo ty mówisz? - krzyknął Lamino. - Co z tobą, do cholery?!

Jego towarzysza potrząsnęła nagle głową i upuściła piwo, które niemal bezgłośnie wylądowało na podłodze. Butelka wytrzymała, ale duża część jej zawartości wylała się, tworząc ciemną plamę, na brzydkim, zielonym, hotelowym dywanie. Sprawczyni tego bałaganu rozejrzała się wokół otępiałym wzrokiem. Spojrzała na Latynosa. Wyraz jej twarzy wskazywał, że dziewczyna właśnie się przebudziła.

- Co ja...? Lamino, co się...?

- Już dobrze, Nariko. Oddychaj. Wszystko w porządku?

"Dlaczego?!"

Drzwi łazienki otworzyły się z lekkim skrzypleniem. Do pokoju weszła Suzume, owinięta białym ręcznikiem. Miała zupełnie mokre, niczym nie przykryte włosy i była boso. Rozejrzała się po pokoju. Spoj-

rzęła zdziwiona na swoich zdenerwowanych towarzyszy.

"Ja..."

Przebiegła przez pokój i bez słowa przytuliła się do Lamino.

\*\*\*

- Kurwa, zostaw! Mieliśmy go przesłuchać, a nie zmasakrować!

Ricky wydobył z siebie głośny, nieludzki ryk. Wyrwał się Wanii, z niewiarygodną prędkością przebiegł przez pomieszczenie, po czym z ogromną siłą przebił ścianę pięścią. Słychać było chrzęst łamanych kości.

- Łapcie go! - wrzasnął Henry. - Debil się zabije!

- Albo nas - dodała Katia.

Zdruzgotaną dłonią wałnął ponownie. Tym razem ryknął z bólu. Na białej ścianie pojawiła się kolejna smuga krwi. Warknął, niczym zwierzę. Odwrócił się w stronę zakładnika.

- Chronić jeńca! - krzyknął Malone. - Martwy nic nam nie powie!

- Ale nie zabiję przecież Ricky'ego! - zaprotestował Wania.

- Zrobisz to - odezwał się Yozef. - W obronie życia.

- Na razie nie ma takiej potrzeby! - odparł Henry. - Lala, co mu jest?

W słuchawkach usłyszeli łagodny, dziewczęcy głos.

- Nie mam zielonego pojęcia. Coś najwyraźniej sprawiło, że jego alter ego jest o wiele bardziej agresywne niż zwykle. Nie wiem co i nie wiem czemu. Nie mogę się do niego... Ojej, czemu on tak krzyczy?

- Złamał sobie dłoń.

- Biedaczek! No, ale wracając: nie mogę się do niego włamać. Jego umysł ma jakiegoś strasznie mocnego firewalla. Próbuje się przebić, ale zdecydowanie nie jest to proste. Wiesz, nie chcę mu nic uszkodzić.

- Zignoruj wszelkie środki ostrożności.

- Ale...

- Lala, do cholery, albo go złamiesz, albo będziemy zmuszeni go zabić! W tej sytuacji potencjalna amnezja jest jego najmniejszym problemem, okay?!

- Jak uważasz, Henry. W takim razie spróbuję się do niego włamać za wszelką cenę. Ale nie obiecuję, że Rick wyjdzie z tego cało.

- Spoko. Kurwa, trzymajcie go! Powodzenia.

- Dzięki.

- Trzymajcie go!

Ich zdziwały kompan próbował się wyrwać, ale żelazny chwyt Wanii i Malone'a był zbyt silny. Henry spojrzał na nich i na wszelki wypadek wyjął z kabury rewolwer. Katia spojrzała na niego krzywo, ostentacyjnie odłożyła pistolet na ziemię, po czym podeszła do zakładnika. Zmierzyła go wzrokiem.

- Jak się nazywasz? - spytała.

Potrząsnął głową. Milczał. Dziewczyna westchnęła i pochyliła się nad nim.

- Posłuchaj - powiedziała. - Zgrywanie bohatera nie ma sensu. Nie odejdziesz dzięki temu z honorem. Twoja śmierć nie będzie dzięki temu lepiej smakować, ani mnie, ani tobie. Przysporzysz sobie tylko niepotrzebnych cierpień. Czy chcesz, żebyśmy spuścili naszego przyjaciela ze smyczy?

- I tak mnie zabijecie.

- O, jednak umiesz mówić! Tak, to prawda. Zabijemy cię. Ale jest różnica pomiędzy szybkim oberwaniem kulki w łeb, a przeciągnięciem w nieskończoność śmiercią, wśród niewysławialnie okrutnych tortur. Rozumiemy się?

Przeciągły, nieludzki wrzask.

- Wania, co się stało?! - krzyknął Henry.

- Kurwa, zmiądzzył mi stopę!
- Co?!
- Zmiądzzył mi moją pierdoloną stopę!!!
- Cholera, łapcie go!

Rick zbyt się rozpędził, wbił się z całym impetem w ścianę. Pod wpływem uderzenia oderwała się od niej farba, przykrywając męczyzną białym pyłem, zmieszanym z okazjonalną, krwistą czerwienią. Ten odwrócił się z rykiem. Jego dziwnie wykrzywione ramię wskazywało, że nie tylko jego dłoń została tego dnia złamana.

- Musisz go zastrzelić - nakazał Yozef.
- Nie! - warknął rewolwerowiec.
- Inaczej on zabije ciebie.
- Powiedziałem, że, kurwa, nie! Lala, ile jeszcze?!
- Prawie go mam - usłyszeli w słuchawkach.
- Rusz się!

- No dobrze, już dobrze. Nie musisz na mnie... Mam! Zaraz go zrobię pacyfistą!

Chwilę później, o krok od lufy karabinu Malone'a, Ricky zmarł. Złapał się zdrową ręką za głowę. Zaczął niespokojnie dyszeć. Wszyscy odetchnęli z ulgą.

- Grzebię - powiadomiła ich Lala.
- Świetnie - Katia odwróciła się z powrotem do zakładnika. - Więc, jeszcze raz: jak się nazywasz?
- Nic wam nie powiem!
- Ojej, coś za twardziel nam się trafił. Powiedz, kochasz swoją matkę?
- Co?
- Zapytałam, czy kochasz swoją matkę. Za dwie minuty ustalę twoją tożsamość. Poznam twoich bliskich. Chcesz, żeby spotkała ich śmierć z twojego powodu? Z przyjemnością to załatwię.

- Ja...
- Kto dał wam wirus?
- Ech... C.E.G.
- Co to? Jakaś organizacja?
- Wiem, co to jest - wtrącił Yozef. - Zapytaj, w jakim celu Cogito dało im to oprogramowanie.
- Może najpierw byś nam powiedział...
- Wolałbym, żebyś najpierw zapytała.

Dziewczyna westchnęła.

- Dobra - powiedziała w końcu, po czym zwróciła się do jeńca. - Po co wam to dali?
- Mieliśmy... Cholera, to strasznie boli!
- W tej chwili nie ma już potrzeby cię opatrywać. Kontynuuj.
- Mieliśmy przekazać ten wirus dalej.
- Komu? Gdzie?
- W Johannesburgu, facetowi o nazwisku Harris. Na imię miał chyba Leland. Tak. Leland Harris.
- Jak mieliście się rozpoznać?
- To on miał nas...
- Ojej!
- Lala, co znowu? - spytał Henry.
- Ojej!

Ricky nagle się przebudził. Wystrzelił jak strzała. Podbiegł do Malone'a, odepchnął go z ogromną siłą, wystrzelone pośpiesznie kule trafiły w sufit. Posypał się tynk. Henry tym razem się nie wahał, wystrzelił. Może była to вина zdenerwowania rewolwerowca, a może o rezultacie zdecydowały umiejętności jego towarzysza, ale żaden z sześciu pocisków nie dosięgnął celu. Ricky podbiegł zaś do ranego, opartego o

ścianę, Wanii. Ten nie zdążył nawet krzyknąć.

- Iwan! - wrzasnęła za to jego siostra, która natychmiast skoczyła ku najbliższej, leżącej na podłodze, broni. Nie wiedziała, czy chywycony przez nią pistolet należał do niej, czy do jednego z dostawców. Nie miało to znaczenia. Nie miała czasu, żeby to sprawdzić. Wycelowwała pośpiesznie i zaczęła opróżniać magazynek.

Zamknęła oczy. Nie chciała patrzeć na to, jak kule rozrywają ciało Ricky'ego. Nie chciała widzieć, co ten robi jej bratu. Nie łudziła się, że go uratuje. Kierowała nią panika, instynkt. Jeśli było to zabójstwo, należało je uznać za zabójstwo w afekcie. Nie wiedziała, co w tej chwili robią jej towarzysze. Nie interesowało jej to. Całe jej jestestwo, cały jej gniew zamknął się w palcu wskazującym, który miarowo wciskał spust. Tylko on się teraz liczył. Raz. Raz. Raz. Dopiero po dłuższej chwili zorientowała się, że od jakiegoś czasu słyszy szczęk.

- Katia - usłyszała głos Henry'ego.

Szczęk. Szczęk. Szczęk.

- Katia, nie masz już amunicji.

Poczuła czyjaś dłoń na ramieniu. Otworzyła oczy. Opuściła broń.

- Wania - szepnęła.

Jej brat, na wpół leżący, oparty o ścianę, miał wbity w sufit, pusty wzrok i rozszarpane gardło. Wszędzie wokół była jego krew. I on, i Ricky, cali byli nią umazani. A właśnie, Ricky. Ten leżał u jego stóp, cały podziurawiony, niczym sito. Umarł z całkiem zabawną miną. Był wyszczerzony, jak drapieżnik prezentujący swoje kły. Te, w przypadku martwego towarzysza Katii, były całe czerwone od posoki jej brata. Po jego policzku również powoli spływała szkarłatna kropla. Ciekawe, do kogo należała? Zauważyła, że Wania ma w ramieniu dziurę po kuli. "Pudło" - przeszło jej przez myśl.

- Nie żyją? - spytał Yozef.

- Nie - odparł Malone. - Cholera, nie wiedziałem nawet, że Ricky ma drugą osobowość.

- Miał - powiadomił go Henry. - Wgrał sobie w zeszłym roku, specjalnie do przesłuchań. Chciał być bardziej agresywny.

- Zajebiście. To mu się, kurwa, udało.

Milczeli wszyscy przez chwilę. Odwracali wzrok od ciał swych przyjaciół. Ignorowali zdezorientowane spojrzenie zakładnika. Dochodzili do siebie. W słuchawkach usłyszeli zawstydzony, cieniutki głosik.

- Ja... Katia, naprawdę mi przykro. To była pułapka. Gdy tylko się włamałam, wirus przeskoczył na moje PDA. Nie mogłam nic zrobić. Ja... Cholera, przepraszam. To moja wina. Powinnam być ostrożniejsza. Proszę, jeśli jest coś...

- W porządku, Lala - odparła Rosjanka, przerażająco spokojnym głosem. - Czy wiesz, kto to zrobił?

- Nie jestem pewna. Próbuję ustalić pochodzenie wirusa, ale jest świetnie zabezpieczony. Tak to jest, jak się działa pod presją. Chociaż... Czekaj, mam coś! Mówi wam coś skrót C.E.G.?

- Dobra, Yozef - powiedział Malone. - Chyba czas na odrobinę wyjaśnień.

- Czy nasz plan uległ w jakiś sposób zmianie? - wtrącił Henry.

Ich przywódca milczał przez chwilę, wpatrując się w zakrwawioną ścianę. Potem podszedł do Katii i odgarnął grzywkę, które nieustannie zasłaniała mu prawe oko. Chwycił jej dłoń. Dziewczyna sama nie wiedziała, czemu nagle zaczęła odczuwać strach.

- Katio - rzekł. - Chcę, żebyś wiedziała, że mi również jest bardzo przykro. Twój brat najprawdopodobniej umarł z mojego powodu. Ale to nie ja jestem odpowiedzialny za jego śmierć. Winę ponosi organizacja, nosząca nazwę Cogito Enders' Genetics. Nazwa ta jest jedynie przykrywką i nie ma większego związku z rzeczywistymi działaniami tej spółki. Ale podejrzewam, że ich agentom zależało. Zależy? Na mnie. Więc przepraszam.

- W porządku, Yozef. Nic do ciebie nie mam. Chcę tylko dorwać tych skurwysynów.

- Oczywiście. Nasz plan nie uległ zmianie w zbyt dużym stopniu. Naszym następnym krokiem powinien

być wyjazd do Johannesburga i odnalezienie osoby noszącej nazwisko Harris. Oczywiście jest ono najprawdopodobniej zmyślane, ale możemy dzięki temu zyskać jakiś trop. Naturalnie, nie wymagam od was, żebyście towarzyszyli mi w tej podróży.

- Jesteśmy z tobą - oświadczył Malone.

- I ja też - wtrąciła Lala.

- Dziękuję wam. Chcę jednak, żebyście mieli świadomość, iż nasze zadanie nie będzie należało do łatwych. Przeciwnik jest od nas znacznie silniejszy.

- Mają wielu ludzi? - spytał Henry.

- Nie. Ale są za to doskonale wyszkoleni. Poznałem. Poznam? Jedną z ich agentek. Akai Suzume. W walce z nią szanse każdego z nas bliskie są zeru.

- Dobrze - mruknęła Katia. - To może powiesz nam coś więcej o działaniach tego... C.E.G.?

Yozef kiwnął głową w stronę zakładnika, wciąż leżącego na podłodze. Malone wycelował i jednym precyzyjnym strzałem zakończył jego egzystencję. Krew rozlała się po podłodze, dołączając do utworzonego już na niej wzoru. Łowcy nagród opuścili budynek, słuchając opowieści swojego przywódcy, który mówił dziś zdecydowanie więcej niż zwykle.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

Bernierdh, dodano 10.01.2013 20:10

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).